Szanowna Pani

II/2572

Przed niespełna miesiącem dostałam od kuzynki z Wrocławia nr. 2/8/1994 „Na Rubieży" w którym jest artykuł napisany przez p. Łosek, naocznego świadka o zagładzie Janowej Doliny na Wołyniu. Tam zginęła moja ukochana babcia Stanisława Jakubowska (54 l.), dziadek Cezary ( ) i ich córka a moja piękna ciocia Krystyna Wyrzykowska (27 l.) Teraz przeżywam śmierć moich bliskich po raz drugi. Żyje jeszcze moja mama Irena Wierzbowska (86 l.) i ona też opłakuje śmierć rodziców i siostry. Zrobiłam ksero tego artykułu dodaję zdjęcia pomordowanych i rozesłałam po rodzinie z komentarzem. Przekazałam to również moim dzieciom i wnukom, aby pamiętały o zbrodniach ukraińskich nacjonalistów. Wysłałam też do Nowego Jorku bratu i do Czech przyjaciołom Czechom, którzy mieszkali na Wołyniu i byli świadkami zbrodni, a o których będę niżej pisała. Nie wiem czy to jeszcze aktualne, ale wysyłam też Pani dane o zamordowanych z mojej rodziny do „Wołyńskiej Krypty" i myślę że pamięć o wymordowaniu naszego narodu będzie stale aktualna.

Nadmieniam również, że jestem „Dzieckiem Wołynia" i opiszę swoje wspomnienia. Dużo przeżyłam, ale udało się nam dzięki Czechom uratować.

Otóż urodziłam się w Łucku na Wołyniu 10.05.1929 r. i tam mieszkałam z rodzicami Ireną i Józefem Wierzbowskimi i bratem Waldemarem do 1941 r. Kiedy na nasze tereny wkroczyli Niemcy warunki bytowe stawały się coraz gorsze, nie chodziliśmy do niemieckich szkół. Nadchodziła zima nie mieliśmy opału. Wówczas odwiedził nas znajomy Czech Karol Kopecki mieszkający koło Łucka we wsi Czeskie Jeziorany. Wieś była duża, bogata, Czesi gospodarni i pracowici. W centrum zwartej wsi mieszkali najbogatsi jej mieszkańcy trzej bracia Kopeccy. Oprócz sporej ilości ziemi mieli: Jan-ik tartak, Karol młyn, Władysław chmielarnię. Karol potrzebował do swojego młyna buchaltera i namawiał tatusia, aby przyjął to stanowisko i z rodziną wyjechał do niego. Warunki proponował dobre, łączone z mieszkaniem. Nie miał on dzieci, tylko wychowywał córkę Władysława, Wiesię i wybudował obok siebie dla niej dom. Wiera jednak wyszła za mąż i wyjechała do męża do drugiej wsi. Jej dom trzypokojowy stał pusty. Było więc bezpłatne lokum Mama nie chciała

© ARCHIWUM WSCHODNIE

wyjeżdżać na wieś, ale kiedy zaczęła się tragedia Żydów i ulicami ciągnęły się całe kolumny do getta, zdecydowała się wyjechać. Czesi zimą przyjechali 15 samiami przywieźli Niemcom zboże (kontyngent) do Łucka i w drodze powrotnej nas zabrali do Czeskich Jezioran. Było nam tam b. dobrze. Nie odczuwaliśmy że jest wojna. Niemcy i Ukraińcy nie zaczepiali Czechów. Ziemie tam urodzajne Czesi bogaci. Tatuś pracował w młynie do którego przyjeżdżali ze zbożem Polacy, Czesi i Ukraińcy. Przywozili prezenty za dobrą mąkę.

Wkrótce jednak zaczęły się ukraińskie wystąpienia na szeroką skalę. Słyszeliśmy, że okropnie mordują, ale nie wierzyliśmy, że przyjdą po nas. Jednak pewnej niedzieli w 1943 r (maj - czerwiec ?) przyszedł do nas znajomy Ukrainiec, był jakiś dziwny, oglądał się i spytał o tatę. Mama powiedziała, że zasnął po obiedzie. Ukraniec nic nie powiedział i szybko odszedł. Kiedy tatuś dowiedział się o tej wizycie od razu powiedział, że jest źle, że ona na pewno chciał nas ostrzec. Poszedł do Kopeckich, porozmawiał z nimi i po powrocie kazał nam pakować się. Kiedy pościemniało spakowane rzeczy przeniesiono do Władi Kopeckiego, nie do Karola u którego mieszkaliśmy i tam już nocowaliśmy. Jak się okazało Ukraińcy przyszli po nas, ale Karol powiedział, że wyjechaliśmy do Łucka. Do domu już wrócić nie mogliśmy i do Łucka jechać też nie można było, bo drogi były już zabloksowane przez Banderowców. Władysław nie mógł trzymać nas w domu więc umościł naszą rodzinę w suszarni chmielu pod podłogą. Na podłodze powstawał różne narzędzia rolnicze, aby nie było widać dziurki włazu. Ta piwniczka była mała, niska, mogliśmy jedynie siedzieć. Władzia przynosił nam wieczorem jedzenie i zabronił nieczystości. Było nas tam czworo. Bardzo narażał się. Kiedy Ukraińcy przyjeżdżali do innej wsi, zamykał swoje dzieci (4-ro), aby Ukraińcy od nich nie dowiedzieli się o nas. Sam z nimi rozmawiał. Mieliśmy umówiony znak, położony cegłę w łuście i kiedy była niebezpieczna sytuacja, on cegłę powyjmował, wówczas wiedzieliśmy, że musimy siedzieć b. cicho. Wieczorem nam o wszystkim opowiadał. Pewnego razu powiedział nam, że do Karola przyjechali

najbogatsza, polska rodzina z Jezioran Polskich (sąsiednia wieś) Biernaccy 14 czy 15 osób. Mieli glejt wydany przez Ukraińców (oczywiście sowicie okupiony), że mogą przebywać w Jezioranach Czeskich. Przyjechali kilkoma wozami i zatrzymali się w stodole. Nie długo tam jednak byli, bo przyjechało trzech młodzików ukraińskich i kolejno wyprowadzali ich za stodołę, wiązali i mordowali. Kobiet poobcinali piersi i rozcinali brzuchy. Czesi byli zszokowani przede wszystkim biernością Polaków. Było wśród nich kilku młodych silnie zbudowanych mężczyzn i mieli broń, z tymi trzema ukraińskimi młokosami mogli rozprawić się szybko. Trzeba dodać jeszcze, że do kręcenia sznurów bandyci złapali trzech chłopców - Czechów. Jednym był nasz kolega Rościsław Szołoła, z którym rozmawiałam po wojnie. Mówił, że ze strachu ledwo te sznury skręcali. Czy Polacy nie bronili się, bo nie chcieli narażać Czechów? Czy nie wierzyli, że ich pomordują.

Nasza obecność u Kopeckiego stawała się b. niebezpieczna, bo rezuny wiedzieli, że wielu Polaków ukrywa się u Czechów i zaczęli ich szukać. Musieliśmy wyjść z tego w miarę dobrego schronienia i iść w otwartą przestrzeń, w zboże na polu. Tam w umówionym miejscu zostawiał nam gospodarz jedzenie i zabierał puste naczynia. Pobyt w zbożu szczególnie dla nas dzieci był makabryczny. Strach, deszcze, burze, upały, ciemności robiły swoje. W zbożu przesiedzieliśmy 3 tyg., dopóki Czech nie poinformował nas, że bulbowcy konno przeczesują pola. Wówczas wieczorem zebrano nas około 10 osób (Polaków) i kazano iść nocą polami do Łucka (około 18 km.) Co to była za okropna noc. Kluczyliśmy po polach, na każdy szmer padaliśmy na ziemię, leżąc nieruchomo. Na szczęście te odgłosy wydawały pasące się konie lub trzeszczące gałęzie. Noc letnia jest krótka, a my błądziliśmy po miedzach i straciliśmy orientację w terenie. Szliśmy całą noc. Kiedy zaczęło świtać, widzieliśmy domy, ale nie był to Łuck. Mężczyźni po przyjrzeniu się stwierdzili, że jesteśmy w Ławrowie ukraińskiej wsi, w której jest duży majątek obsadzony Niemcami. Ale, czy są tam jeszcze Niemcy, czy utrzymali się do tej pory? Nie wiedzieliśmy. Byliśmy przerażeni. Nie wiadomo co robić. Siedzieliśmy w zbożu koło drog

i dorośli naradzali się co robić. Wtem nasza na nas Ukrainka. Strachliśmy, wiedzieliśmy, że minuty naszego życia mogą być policzone. Ona poznała tatusia. Była zaskoczona, ale powiedziała nam, że w majątku są Niemcy i wskazała drogę, którą możemy podejść pod majątek, ale z białą chustką, bo do pozostałych Niemcy strzelają. Teraz jednak iść nie radziła, trochę później, aż jej mężczyźni wyjdą w pole. Kazała czekać. Nie wiedzieliśmy, czy to nie pułapka, ale innego wyjścia nie było. Siedzieliśmy. Po pewnym czasie przyszła, pod fartuchem miała litr mleka i dała go nam dzieciom. Kazała iść. Tatuś zastanawiał się czy czarownica mleko nie zatruła, ale my byliśmy tak zmęczone i spragnione, że było nam już wszystko jedno. Mleko wypiliśmy. Według wskazówek tej kobiety, udało się nam podejść pod majątek, do którego Niemcy nas wpuścili. Potrzebowali rąk do pracy. Zaczynały się żniwa. Od razu przydzielili nam nasze obowiązki. Mama poszła do kuchni osobistej komendanta i musiała gotować jemu, jego kochance i jej matce. To nam wyszło na dobre, bo te pani-Polki były dobre i pozwalały mamie wynosić stamtąd jedzenie dla nas. Nie głodowaliśmy. Tatuś poszedł do biura, młodszego brata Waldemara przydzielono do pasienia krów. On miał najniebezpieczniejsze zajęcie, bo musiał oddalać się od majątku. Mnie skierowano na żniwa, przydzielając naszej grupie kilku uzbrojonych Niemców. Na polu rozstawiono nas za kosiarzami. Kosiarz zbierał zboże a kobieta musiała wiązać snopki. Ja miałam 14 lat i nigdy tego nie robiłam. Kobiety pokazywały mi jak się robi „powrósła?", ale to mi nie wychodziło i inny rozśmiewały się. Stojący za mną kosiarz czekał aż zbiorę zboże, nie mógł kosić. Za mną wszyscy stali i czekali. Po chwili widzę, że w moim kierunku idzie Niemiec. Myślałam, że mnie zbije, ale on krzyknął i wygonił mnie. Musiałam tam zejść mu z oczu i wracać do majątku sama. Nie wiedziałam czy brać bliżej domów ukraińskich, które wydawały się puste, czy polami. Zdecydowałam na pola. Biegłam jak szalona. Kiedy upadłam na dziedziniec spłakana i wystraszona spotkałam tatusia, który, kiedy dowiedział się o co chodzi poszedł do Niemców i załatwił mi pracę u ogrodników na miejscu w sadzie i ogrodzie. Wtedy było mi dobrze. Ogrodnicy byli Polakami i mogłam nawet

owocu. Mieszkaliśmy wszyscy w dużym magazynie, spaliśmy na słomie. Po pierwszej spędzonej tam nocy, wszy dosłownie „kapały" z nas. Nie mieliśmy niestety w co przebrać się. Po pewnym czasie dostaliśmy malutką izbę w czworakach. Tam wieczorem można było z siebie uprać odzież. Ponieważ wielu Polaków było w podobnej sytuacji, więc poprosili komendanta, aby dał kilku Niemców i furmanki, aby mogli zabrać swoje rzeczy ukryte u Czechów. Zorganizowano taki wypad. Tatuś też dostał wóz z koźmi. W drodze zobaczył z tyłu wozu mego brata (13 l). Zdenerwował się, bo nie chciał go brać, aby mu nie narażać. Teraz nie mógł go na drodze zostawić. W Jeziornach Czeskich zabrał szybko co mógł i przyłączył się do pozostających. Ukraińcy jednak zorganizowali zasadzkę. W pewnym miejscu zaczęli Polaków ostrzeliwać. Jedynie my byliśmy w tej eskapadzie poszkodowani, bo banderowcy zabili nam konia. Wszyscy zaczęli uciekać i nie było czasu wyprzęc zabitego konia. Tatuś zdążył tylko przerzucić na drugi wóz jedną paczkę i oglądał się za bratem, aby go ratować. Straciliśmy wszystko. Szczęściem dla nas było to, że w tym ocalałym tobołku były zdjęcia rodzinne i trochę odzieży. Zdjęcia były dla nas najcenniejsze, bo wszystkiego dorobiliśmy się, a pamiątek nie mielibyśmy. Niemcy byli różnie ustosunkowani do Polaków, było ich 40-stu wojskowych i komendant. Ten był najgorszy. Znęcał się nad wszystkimi, bił. Ale byli lepsi. Pamiętam raz zrywaliśmy porzeczki. Każda miała wiadro. Zaczęł bardzo boleć mnie ząb. Odwróciłam wiadro do góry dnem i skulona siadłam na nim w krzakach, cierpiąc z bólu. Tak zastał mnie Niemiec. Myślałam, że obetnie. Zerwałam się i pokazuję na obolałą twarz. On odszedł. W południe mieliśmy przerwę obiadową. Nie mogłam jeść. Położyłam się, aby ukoić ból. Raptem słyszę niemiecki szwargot i stukanie do drzwi. To był tamten Niemiec, szukał mnie, bo przyniósł tej przeciwbólowe. Mieliśmy tam dużo roboty. Zrywaliśmy owoce, warzywa. Jedzenie było ze wspólnego kotła, nas mama dokarmiała z kuchni komendanta. Tam robiła też przetwory na zimę i wino. Komendant zadowolony z pracy mamy dał nam w użytkowanie czerwoną krowę.

Tzn. mogliśmy ją tylko doić i spożywać jej mleko. Po pewnym czasie mama skaleczyła się w palec, powstał z tego ropień. Mama b. cierpiała. Akurat była zmiana Niemców i komendant pozwolił jej z nimi jechać do Łucka do lekarza. Miała wrócić z następną zmianą. Po kilku dniach kiedy zaczęło świtać, my spaliśmy, ktoś zapukał w nasze okno. Zobaczyliśmy mamę. Kazała nam cicho ubierać się i wyłazić przez okno. Wszystko wykonywaliśmy bez słowa w największej ciszy. Krzakami dotarliśmy do drogi, a tam stał wóz z końmi. Wujek przyjechał po nas. Uciekaliśmy. Po drodze mama ukradła jeszcze Niemcom z pastwiska tę krowę daną nam w użytku. Droga była pełna niebezpieczeństw, w każdym momencie mogli nas zaatakować Ukraińcy. Oni jednak nie spodziewali się, żeby Polacy odważyli się jechać drogą. To było niewykonalne i dlatego udało się nam. W pewnym miejscu stoi na drodze mężczyzna z karabinem, myśleliśmy, że już po nas. Był to jednak Polak z „Samoobrony", ponieważ był to okres żniw i Polacy tworzyli brygady pracy i miejscami ścinali zboże, aby nie zapanował głód w Łucku. Dalej już mieliśmy drogę bezpieczną. W ten sposób dostaliśmy się do cioci w Łucku i tam zamieszkaliśmy. Spotkaliśmy później ogrodnika w mieście i opowiadał, że komendant szalał ze złości, że mama zorganizowała tę ucieczkę i jeszcze mu krowę ukradła. Nic swojego nie mieliśmy tylko tę jedyną krowę żywicielkę. Ciocia musiała nas ubrać, z nas wszystko zawszawione spalić i oczyścić nam głowy. Ja miałam długie warkocze i kiedy podrapałam to za paznokciami miałam wszy. Tak skończyła się nasza wyprawa na czeską wieś. Ledwo uszliśmy z życiem i straciliśmy wszystko co mieliśmy. Miała moja mama jeszcze jedną przeprawę z naszą krową. Wynalazła dla niej miejsce u kogoś w chlewie, w którym już stało parę krów. Wówczas wielu ludzi uciekało do miasta ze zwierzętami. Paść było gdzie bo nad Styrem było wiele łąk. Wszystkie krowy musiały być zarejestrowane u Niemców. Nasza nie mogła być zapisana ze zrozumiałych względów. Chyba w takich krów było i dlatego Niemcy zorganizowali spęd na pewnym placu

i każda sprawdzona krowa wracała z zielonym krzyżem na zadzie zrobionym zieloną, olejną farbą. Potem Niemcy sprawdzali po oborach i nieznaczone bydło zabierali. Mama chcąc uchronić naszą krowę, wzięła paletę z wodnymi farbami i chciała ją ozdobić takim krzyżem. Nie zdążyła. Niemcy zabrali naszą żywicielkę. Mama była zrozpaczona, ale nie zrezygnowała z niej. Poszła za Niemcami, oni pędzili bydło na most nad Styrem, przywiązali do bariery, zostawili jednego Niemca do pilnowania, a pozostali poszli dalej na „połów". Wokoło stało wielu gapiów. Na szczęście nasza krowa była z brzegu. Kiedy Niemiec poszedł na drugi koniec mostu, mama podbiegła do krowy odwiązała i zaczęła z nią uciekać. Zmieszała się z tłumem ludzi. Niemiec nie mógł strzelać do ludzi, nie mógł też biec za mamą bo straciłby więcej krów. Mama wpadła w jakąś uliczkę i biegła wśród chlewów, ale usłyszała głosy Niemców, skręciła w gruzy jakiegoś zbombardowanego domu i krowa wpadła jej do jamy po piwnicy. Kiedy Niemcy odeszli mama nie mogła jej stamtąd wyciągnąć. Dopiero po akcji niemieckiej, mężczyźni poszli z łańcuchami i wydobyli ją. Mieliśmy znowu swoją krasulę. Wszyscy podziwiali odwagę mamy. Jej wyjazd po nas do Zasro- kraz zdarzenie z krową. Potem dostaliśmy malutkie mieszkanie dla siebie. Mieszkaliśmy w centrum miasta. Tatusia zabrano do wojska. Chciałam jeszcze przypomnieć o napadzie Ukraińców (wigilia przed Bożym Narodzeniem 1943 lub 1944 r.) na rodziny zamieszkałe koło cegielni na peryferiach Łucka. Zamordowano wówczas około 30 osób. Ja widziałam te osoby leżące w trumnach na cmentarzu w dolnej kaplicy. W styczniu 1945 r. wyjechaliśmy na Ziemie Odzyskane i zamieszkaliśmy w Wałczu woj. Piła. Do dziś tu mieszkamy. Tu się uczyłam i w Lublinie. Wyszłam za mąż, mam troje dzieci. Brat Kazim wyjechał do USA, tatuś umarł 20 lat temu, a mama żyje ma 86 lat.

Bardzo dobrze, że są ludzie, którzy zajęli się sprawą morderstw dokonywanych przez OUN - UPA. Gdyby tak udało się pociągnąć ich do odpowiedzialności. Ludobójcy powinni być ukarani.

Danuta Kiełbowska - Robaszko
Pl. Tysiąclecia 16 b/7 78-600 Wałcz

© ARCHIWUM WSCHODNIE